



AGNIESZKA PIŚKIEWICZ-BORNSTEIN

Tam i tu

– Irit Amiel umarła? Nie wierzę, byłam przekonana, że jest nieśmiertelna – skomentowała szczerze zdumiona Ronit, po czym otrząsnęła się z szoku, zabrała, co trzeba, wyszła z domu i wspięła się po schodach na parking, z którego rozciąga się zapierający dech w piersiach widok na pierwsze dzielnice Jerozolimy z domami pokrytymi czerwonymi dachówkami. Niemieccy i polscy Żydzi przywieźli ze sobą pamięć o obfitych deszczach spływających po spadzistych dachach i dopiero z upływem czasu, i wraz z nabywaniem nowych doświadczeń zaczęto budować domy z płaskimi dachami. Jak dawniej.

Wchodząc do domu Amiel w podtelawijskim Ramat Gan, sześćdziesiąt kilka kilometrów dalej i ponad godzinę później, Ronit rzuca kilka zdań całkiem ładną polszczyzną, po czym przytulając zdziwioną tym wstępem córkę Amiel, wyjaśnia jej krótko: – Motek¹, ja nie miałam taty Marokańczyka jak ty, ale Polaka – podając jej przy okazji książkę – Twoja mama dała mi to przed laty, kiedy zmarł mój ojciec, teraz ty powinnaś ją dostać.

– Moja mama? Dała tobie? – kobieta rozgląda się bezradnie wokół piętrzących się stosów książek, które zdążyła już pozdejmować z półek i posegregować językowo. Spogląda na jasną okładkę: *Jak likwidowałam dom moich rodziców. Opowieść o tym, jak poznałam naprawdę swoją matkę, ocalałą z Zagłady, sprzedając po niej dom*². – Moja mama ci to dała? – powtarza, patrząc zdziwiona.

Nie byłabym świadkiem tej rozmowy, gdyby przed trzynastu laty Ronit – której matka pochodziła z miasteczka, gdzie dorastałam, nie mając pojęcia, że było typowym przedwojennym sztetlem – nie postanowiła zapytać mnie, czy chciałabym poznać Irit Amiel, matkę jej koleżanki. Spotkanie zorganizowała pewnego upalnego izraelskiego popołudnia w jednej z telawijskich kawiarni, gdzie w towarzystwie swojej córki pojawiła się Irit – drobna, tryskająca dobrym

¹ Motek, od hebrajskiego *matok*, *metuka* ‘słodki’, ‘słodka’, często używane wśród przyjaciół zdrobnienie.

² L. Flem: *Jak likwidowałam dom moich rodziców*. Przeł. E. Burakowska. Warszawa 2005.

humorem i energią, elegancka i niezwykle rozmowna. Pod koniec spotkania spontanicznie zaproponowała mi pracę sekretarki.



Nie wiem, czym kierowała się Ronit w swoim pytaniu, ale dziś, po trzynastu latach, jest co najmniej kilka osób niezwykle jej za to wdzięcznych.

Moje spotkanie z Irit Amiel zaczęło się jednak tak naprawdę, zanim miałam tego jakkolwiek świadomość. Mieszkając w Częstochowie, pracowałam w liceum, którego budynek mieścił się przy ulicy Nadrzecznej, na terenie dawnego getta³. Nieopodal bieżącej tory kolejowe i do niedawna stała tam rampa. Z tego powodu bywa Nadrzeczna nazywana często ulicą smutku, gdyż tędy prowadzono Żydów z częstochowskiego getta do pociągów, które wywoziły ich do Trebłinki. Czy w jednym z okien na tej ulicy około 1942 roku stała za firanką jedenaastoletnia, wtedy nie Irit Amiel, a Irenka Librowicz, i patrzyła na sześciolletnią Sylwię prowadzoną na śmierć wśród szarej, zabiedzonej fali ludzi?⁴ A zaledwie

³ Autorskie Liceum Artystyczne w Częstochowie, ul. Nadrzeczna 5.

⁴ Por. I. Amiel: *Sylwia (wrzesień 1942 rok)*. W: *Taż: Spóźniona / Delayed*. Przeł. M. Kazmier-ski. Kraków–Budapeszt 2016, s. 48.

kilka przecnic dalej, przy dworcu kolejowym z pociągami nieodwożącymi na śmierć, stał wtedy jej dom, w którym przyszła na świat, i tylko kilka lat dzieliło tę ukrywającą się za firanką, przerażoną dziewczynkę od tej z uśmiechem na buzi i z kokardą we włosach, która stała na krzeselku przed gośćmi, deklamując pod okiem dumnego tatusia: „Stoi na stacji lokomotywa...”.

Irenka Librowicz będzie jedynym dzieckiem Leona i Natalii (Jentli) z Hasenfeldów, mieszkających w Częstochowie. Nie da się kochać więcej niż jedno dziecko – wyjaśnia jej matka, prawdopodobnie zmęczona dorastaniem w domu, gdzie faworyzowano jedyne go syna spośród kilku córek. Na tę decyzję Librowiczów mógł wpłynąć trudny poród, podczas którego Leon został poinformowany przez lekarza, że, być może, będzie musiał wybrać pomiędzy dzieckiem a matką, do czego ostatecznie nie doszło, ale wiedza o tym wpłynęła na późniejsze postrzeganie pewnych sytuacji przez dorosłą Irenę. W domu mówi się po polsku, dziecka do szkoły na wszelki wypadek się nie posyła, żeby nie zachorowało czy nie nabyło nieodpowiednich nawyków. Prywatnych lekcji w domowym zaciszu będzie udzielać jej pani Hanka. Do domu sprowadza się Wikcia, polska pomoc domowa, która będzie opiekunką małej Irenki aż do wybuchu wojny. W dni powszednie będzie zabierać ją ze sobą po sprawunki, a w niedziele na spacer do parku jasnogórskiego (w rzeczywistości i na klasztorne msze).

W latach 30. do Palestyny zaczyna wyjeżdżać coraz więcej częstochowskich Żydów. Leon Librowicz rozważa ideę dołączenia do brata, który mieszka tam od kilku lat, ale ostatecznie się rozmyśla. Jednym z powodów ma być miłość Irenki do polszczyzny: „dziecko tak lubi ten język”⁵, i przekonanie, że ta zostanie pisarką.

Sielankowe, jak się wydaje, życie wychuchanej jedynaczki przerywa wybuch drugiej wojny światowej. Librowiczom zostaje przydzielony nowy dom, a ich mieszkanie z patefonem, który grywał polskie tanga, pełne lał i zabawek małej Irenki, przejmuje gestapo. Niecałe dwa lata później rodzina zostaje przesiedlona do getta. W jednym domu zostaje stłoczonych kilkanaście osób, ukochana ciocia Guta poślubia wuja Jana, a Leon Librowicz buduje skrytkę na strychu, gdzie kilkakrotnie ukrywa przede wszystkim starsze osoby z rodziny i dzieci, w tym Irenkę, dla której będzie to tak traumatyczne doświadczenie, że wymaże je (wraz z kilkoma innymi) na wiele lat z pamięci. W tym samym domu w piwnicy budują bunkier inni Żydzi pragnący ratować swoje życie.

Librowicz kupuje papiery aryjskie dla siebie, żony i córki. Ostatecznie jednak nie udaje im się wydostać z getta i zginą wywiezieni do Treblinki niedługo po tym, jak ukochany tatuś przesznuje Irenkę na „aryjską stronę” przez dziurę w ścianie szpitala na terenie getta.

⁵ Ze wspomnień Irit Amiel przekazanych autorce.

Po tych drugich narodzinach, jak będzie to nazywać, dziewczynka trafia „na wiochę”⁶. W dzień chowa się w lesie i uczy na pamięć modlitw z katolickiej księżeczki do nabożeństwa подарowanej jej przez opłaconą pomocniczkę. W nocy połyka po cichu łyż, prosząc prawdziwego, żydowskiego Boga, żeby przyprowadził jej rodziców.

Ten nawyk zostanie jej już do końca życia, jak pewnie wszystkim osmalonym: w dzień zbiera się wszystkie niezbędne siły do życia i robi się wszystko, co należy. W nocy zagłusza się natrętnie myśli i uczucia, najczęściej tabletkami nasennymi.

Po wojnie, po której już nigdy nie poczuła się na świecie jak w domu, wraca do Częstochowy z dwiema bezdzietnymi parami ze strony matki i ojca, które rozpoczynają planowanie losu czternastoletniej Irki. Przede wszystkim dziewczynka rozpoczyna naukę w liceum im. Juliusza Słowackiego, gdzie nawiązuje kontakt z Żydami rozważającymi wyjazd do Palestyny. Momentalnie zaraża się ideami kibucowymi i projektami budowania żydowskiego państwa. Irka chce zmieniać świat. Kiedy ostatecznie utwierdzi się w przekonaniu, że jej miłość do Polski jest nieodwzajemniona – po tym jak dyrektorka szkoły namawia ją do przechrzczenia się, a koleżanki na boisku komentują, że Żydów mają zawsze grube nogi – wprowadzi swój plan w życie. Pod osłoną nocy, dla bezpieczeństwa przebrana za chłopca, w towarzystwie innego kolegi ucieka pociągiem do Gdańska, gdzie rozpoczyna się jej wędrówka do Ziemi Obiecanej.

„Najpierw skaczę. Potem myślę, co i jak”⁷, powie po latach.

Pieszko, grzęznąc w błocie, pociągiem, wojskową ciężarówką, nocą przez ośnieżone Alpy, aż do nielegalnego statku – jednym krokiem z chyboczącej się łodzi na rozhuśtaną, sznurkową, statkową drabinkę ponad bezmiarem granatowego morza. Ta ostatnia część podróży jest najtrudniejsza, bo piętnastoletnia Irka nie umie pływać. Z tego powodu swoje dzieci obowiązkowo zapisze na kurs pływania i będzie uczyć je jeździć na rowerze – to, czego nie potrafiła sama, i to, co może pomóc uciec oraz ocalić życie. Pozostanie to w jej mniemaniu o wiele ważniejsze niż jakiegokolwiek wykształcenie. Sama będzie chodzić pływać na basen niemal codziennie i niemal do końca życia.

W nowym kraju szybko zrozumie, że nikt nie będzie litował się nad nimi, osmalonymi z europejskiej pożogi, i trzeba będzie się szybko wtopić w to nowe życie, nauczyć nowego języka i nowych manier, zbudować się od nowa i nie wspominać o swojej przeszłości, o której wcale nikt nie chce słuchać. Z byłymi wojownikami Palmachu, elitarnej jednostki wojskowej walczącej o niepodległość Izraela, postanawia budować kibuc Palmachim, nad samym morzem. Rodzi się po raz trzeci – Irka staje się Irit. Polski hołubi ukrycie, czytając książki i wypisując sobie z nich całe zdania. Zapisze w ten sposób kilka drobnych zeszytów. Równoległe

⁶ Por. I. Amiel: *Życie – tytuł tymczasowy*. Warszawa 2014.

⁷ Ze wspomnień Irit Amiel przekazanych autorce.

będzie pisać po hebrajsku – myśli, listy do dzieci, tłumaczenia różnych tekstów. Pociąga ją jej nowy język, starożytny język świętych ksiąg, które po opanowaniu go stanęły dla niej nagle otworem. To w nim zbuduje swoje nowe życie – wyjdzie za mąż za Chuzy'ego, jednego z palmachowskich żołnierzy, urodzi dwoje dzieci, wyprowadzi się z kibucu i zacznie pisać, kiedy już nasyci się życiem wszystkimi zmysłami. Najpierw wiersze, bo tak łatwiej jej wypowiedzieć to, co czai się cały czas pod skórą – krótko, w skondensowanej formie. Słowa najstarszej wnuczki, która prosi ją o pomoc w przygotowaniu się do sprawdzianu z Szoa: „A ty tam byłaś”, wywołują w niej uśpioną potrzebę opisanie swoich przeżyć. Wiersze przekłada na polski, bo dochodzi do przekonania, że nic nie jest kompletne, jeśli nie istnieje w obu jej językach. Wychodzą w połowie lat 90. w zbiorach: *Egzamin z Zagłady*, *Nie zdążyłam* i *Wdychać głęboko*, a w 2016 roku w dwujęzycznej antologii (przekład na angielski: Marek Kazmierski). Potem wylewa z siebie opowiadania, które zamknie w dwóch szczupłych tomikach: *Osmaleni* i *Podwójny krajobraz*. Zostaną przełożone na języki: węgierski, włoski, niemiecki, angielski, chiński i japoński, a w Polsce będą nominowane do Nagrody Literackiej Nike, plasując się w finałowej siódemce. W 2013 roku napisze autobiografię w postaci rozmowy samej ze sobą, prowadząc Irkę od narodzin aż po dojrzałą Irit, zamykając koło. Michał Głowiński nazwie ją „pisarką jednego tematu”⁸, co skomentuje w charakterystyczny dla siebie sposób: „Piszę tak, jak gotuję. Wchodzę do kuchni, rozglądam się, co jest, i z tego tworzę”⁹.

Ostatnim jej wierszem będzie *Ona* z 2016 roku¹⁰, ostatnim opowiadaniem *Izraelskie wesele* z 2019 roku¹¹. Opisuje w nim świecką uroczystość, która dla państwa nieuznającego ślubów cywilnych, jakim jest Izrael, nie ma żadnej mocy prawnej, a bez rabina i religijnej. Mimo to jest przekonana, że żydostwo przetrwa. Nawet bez rabinów i religijnych rytuałów. Tak jak u niej – po wojnie świadomość bycia Żydówką stała się dla niej ogromnie ważna. Ale bez Boga, bez modlitw. To już było, to należy do innych słowników. Modliła się o rychły powrót rodziców, połykając gorzkie łzy tęsknoty, samotna na wsiach, modliła się wpatrzona w okno, przebywając w kryjówce w Warszawie, i po zakończeniu wojny na częstochowskich peronach, wypatrując wśród powracających znajomych twarzy. A potem przestała się modlić na resztę życia, dochodząc do przekonania, że wszystko było nadaremno. „Nie wiem, jak po tej wojnie można w ogóle być religijnym”, będzie powtarzać, a w jednym ze swoich wierszy napisze: „Może Pan Bóg naprawdę istnieje, / [...] ale On na pewno nie potrzebuje nas”¹².

Jeżeli jednak spojrzymy na podstawę żydowskości, u której leży poczucie wdzięczności, Irit Amiel okaże się najgorliwszą wyznawczynią judaizmu. Do

⁸ M. Głowiński: *Posłowie*. W: I. Amiel: *Osmaleni*. Warszawa 2010, s. 103.

⁹ Z rozmowy Irit Amiel z autorką.

¹⁰ I. Amiel: *Ona*. „Narracje o Zagładzie” 2020, nr 6, s. 27.

¹¹ I. Amiel: *Izraelskie wesele*. „Lamalo” 2019, nr 4.

¹² I. Amiel: *[Może Pan Bóg naprawdę istnieje]*. W: Taż: *Spóźniona / Delayed...*, s. 136.

samego końca miała w sobie nieustający zachwyt nad pięknem życia i ciągły apetyt na nie, była w nim zakochana i smakowała je wszystkimi zmysłami. Cieszyła się zwykłymi, codziennymi sprawami i zachwycała się wszystkim dookoła, a zwłaszcza krajobrazami i naturą – począwszy od liści oplatających na wiosnę jej mały, uroczy domek z ogródkiem, poprzez gorące izraelskie słońce, morze i ptaki zatrzymujące się w Izraelu w drodze z Polski do Afryki. Patrzyła na żurawie i czaple w pobliskim parku i recytowała sobie ze śmiechem: „Smutno było żurawiowi...”. Lubiła siadywać na ławeczce pod palmami przy stawie i obserwować zachód słońca. – Życie naprawdę jest piękne – mówiła – ja właściwie odchodzę w kwiecie wieku.



– Ileż ta jedna mała kobieta miała rzeczy – skomentuje jej córka, siedząc w stosie notatników, zeszytów, książek, piór, kredek, długopisów i porcelanowych domków. Poda mi małą karteczkę i zapyta: Co tu napisała?

„Nielatwo jest żyć po śmierci. Czasem trzeba na to stracić całe życie. S.J. Lec” – tłumaczę jej na hebrajski.

Irit Amiel (Irena Librowicz), 5 maja 1931, Częstochowa–16 lutego 2021, Ramat Gan